



Mirosław Derecki

ZANIM ZDOBYLI GRAND PRIX...

ROZMOWA Z DYREKTOREM I KIEROWNIKIEM ARTYSTYCZNYM

LUBELSKIEGO TEATRU STUDIO WIZJI I RUCHU

JERZYM LESZCZYŃSKIM

W poprzednim numerze „Kamery” zdążyliśmy już poinformować Czytelników o wielkim sukcesie, jaki odniósł wasz teatr na festiwalu Eurowizji w belgijskiej miejscowości Knokke – „IX Międzynarodowym Konkursie Telewizyjnym – „Złota Jaskółka Morska 1978”. Widowisko „Follow My Dream” („Idź za moim marzeniem”) zaprezentowane przez Telewizję Polską zdobyło Grand Prix, główną nagrodę, wyprzedzając dziewięć telewizji zachodnioeuropejskich. Wyjaśnijmy od razu, że „Follow My Dream”, którego współtwórcą i realizatorem telewizyjnym jest Jerzy Gruza, powstało w ścisłym oparciu o wasze przedstawienie „Malczewski”. (Premierę „Malczewskiego” dał Teatr Studio Wizji i Ruchu jesienią ub. roku w Lublinie). Jak doszło do tego sukcesu?

- Przyznam szczerze, że dla nas samych ta nagroda była zaskoczeniem. Znając rangę i poziom festiwalu, jechaliśmy do Belgii nawet bez specjalnej tremy: mieliśmy się oto znaleźć w doborowej, międzynarodowej czołówce artystycznej prezentującej programy rozrywkowe. W tej sytuacji marzenia o laurach były nam raczej obce. Dopiero po naszym spektaklu konkursowym w „Cassino Knokke”, po owacji, jaką nam zgotowała publiczność oraz głosach dziennikarzy w czasie wynikłej ad hoc konferencji prasowej, zacząłem myśleć o jakimś... trzecim miejscu...

- A kogo typował Pan na pierwsze miejsce? Telewizję brytyjską?

- Miała ona na pewno ogromne szanse. Abstrahując od poziomu artystycznego przedstawianego programu, trzeba było brać pod uwagę fakt, że w istniejącym od 1970 r. festiwalu w Knokke TV BBC sześciokrotnie zajmowała pierwsze miejsce, raz tylko dając się wyprzedzić telewizji belgijskiej i raz erefenowskiej. Równie „groźny” był program telewizji belgijskiej: „Le Cirque Imaginaire” ze znakomitą Geraldine Chaplin. Ostatecznie my zajęliśmy pierwsze miejsce, BBC - drugie, a trzecie - telewizja szwajcarska. Poza tym brały udział w konkursie również telewizyjne reprezentacje Belgii (flamandzka i walońska TV), Danii, Hiszpanii, Holandii, Finlandii i Irlandii. Festiwal ciągnął się przez ponad miesiąc - od 3

czerwca do 5 lipca. Wszystkie występy, odbywające się w wielkiej sali widowiskowej „Cassino Knokke”, były rejestrowane na ampieksie i dopiero po zakończeniu prezentacji, w dwóch ostatnich dniach festiwalu, oglądane przez jury na monitorach telewizyjnych i oceniane. Warto podkreślić, że byliśmy w Knokke jedynym i pierwszym - jak dotąd - telewizyjnym zespołem z krajów socjalistycznych. Występowaliśmy w połowie konkursu, 14 czerwca, i może, dlatego napięcie i zdenerwowanie spadło na nas dopiero później: w czasie długich tygodni oczekiwania na werdykt jury.

- W którym, nawiasem mówiąc, zasiadał również przedstawiciel naszego kraju...

- To wynikało z regulaminu konkursu - bardzo zresztą dokładnego i rygorystycznego. Na przykład prezentowany program nie mógł trwać krócej niż 30 minut i nie dłużej niż 40. Rejestrowany był „na żywo”, na sali wypełnionej publicznością siedzącą przy stolikach. Nie wolno było stosowni żadnych cięć montażowych, powtórek, dokrętek filmowych. W skład ekipy telewizyjnej wchodził Belgowie; jedynie miejsce przy głównej reżyserskiej konsolce zarezerwowano dla reżysera programu danego kraju. I jeszcze jedno: juror zostawał wyłączony z głosowania, kiedy brano pod uwagę realizację telewizyjną kraju, który on reprezentował. Tak więc ani Gruza, ani ja nie tylko nie mieliśmy ułatwionego zadania, ale przeciwnie: od samego początku piętrzyły się przed nami ogromne trudności. Przede wszystkim musieliśmy nadać przedstawieniu nowy kształt, dostosować go do wymogów stawianych przez konkurs, a przy tym nie stracić wymowy artystycznej i ideowej „Malczewskiego”. Dokonywaliśmy tego z Gruzą najpierw w naszej lubelskiej siedzibie i na scenie Teatru im. J. Osterwy, a później już w samym Knokke, w czasie trzydniowych, wielogodzinnych prób. Dodatkowe trudności wynikły stąd, że w Lublinie robiliśmy próby przy muzycznym playbacku. Józek Skrzek - twórca muzyki do przedstawienia - przyjechał razem z zespołem SBB, biorącym udział w „Follow My Dream” dopiero nazajutrz po naszym przybyciu do Knokke i na miejscu w czasie ostatnich prób przekomponowywał fragmenty muzyki. Poza tym poważne obawy wzbudziła w nas pierwsza próba kamerowa: pracowaliśmy tylko w zwykłych, ćwiczebnych kostiumach, przy podkładzie muzycznym odtwarzanym z magnetofonu... Dla postronnych, obcych widzów mogła się przy tym zacierać idea „Malczewskiego” i myśl widowiska. W każdym razie nie czuliśmy pełnego kontaktu z belgijską ekipą telewizyjną. Następnego dnia poszło już łatwiej. Przed sceną, na widowni siedział Józek Skrzek z zespołem SBB. Cała ogromna scena ograniczona wielkimi, białymi planszami ze sklejki pozostawała do naszej dyspozycji. Te plansze, nawiasem mówiąc, bardzo nam komplikowały kontrolowanie w czasie spektaklu tego, co dzieje się na scenie. Zamontowano, więc nam na zapleczu trzy monitory telewizyjne i wychodziliśmy zza kulis - jak to się mówi w tv - slangu - „pod monitor”... Ale właśnie owe plansze uznaliśmy za bardzo istotny element dekoracyjny.

- „Follow My Drem” jest dziełem wspólnym. Jak się układał sam proces jego tworzenia? Bądź, co bądź – pańska idea spektaklu musiała się zderzyć z ideą widowiska telewizyjnego Gruzy?

- O Jerzym Gruzie mogę powiedzieć tylko samo dobre. Jest bardzo wrażliwy, obdarzony ostrym refleksem. Znakomicie się rozumieliśmy. Gruza błyskawicznie wchodzi w kontakt, ogarnia ideę spektaklu. Te sceny z „Malczewskiego”, które jego zdaniem powinny wejść, do „Follow My Drem”, absolutnie pokrywały się z moimi pragnieniami. „Follow My Drem” nadano kształt impresji - imaginacji związanych z obrazami Jacka Malczewskiego. Nie było tu ściśle zarysowanej - jak w „Malczewskim” - konstrukcji literackiej. Odrzuciliśmy sceny kameralne, w bardziej „teatralnym” duchu - np. scenę wieczerzy wigilijnej. Pozostały sceny najbardziej dynamiczne, najbliższe w klimacie malarstwa Malczewskiego. Chyba to się udało. Świadczyła o tym wspomniana już przeze mnie poprzednio reakcja sali po konkursowym występie. Dla tamtejszej publiczności była to swoista sensacja: chodziło nie tylko o samo przedstawianie, ale o specyfikę i osobowość twórczą artysty, którego dzieła stały się inspiracją „Follow My Drem”. Z czymś takim jeszcze się tutaj nie spotkano. Po spektaklu zarzucono nas pytaniami o Malczewskiego, o jego sztukę. Bliżej zainteresowanych kierowałem na trwającą jeszcze w Paryżu wystawę twórczości słynnego polskiego malarza... W lipcu, po ogłoszeniu werdyktu, pojawiły się w prasie belgijskiej entuzjastyczne recenzje pod tytułami: „Przyjechali - zobaczyliśmy – zwyciężyli” albo: „Złoto dla Polski”. (Przypomnę, że tamtejsza publiczność nie narzeka na brak artystycznych atrakcji; w maju występowała w Knokke Lisa Minnelli, w lipcu Ray Charles, a w sierpniu czekają ją występy Charlesa Aznavoura, Gilberta Becaud, Sachy Distela i Dalidy). Ale ja ciągle wspominam gorącą atmosferę pierwszego spotkania z tamtejszymi dziennikarzami: za moimi plecami stał niezwykle rozentuzjarmowany sześćdziesięcioletni Anglik, klepał mnie po ramieniu i powtarzał: „You have gold medal! Must be first place!”(Macie złoty medal! To musi być pierwsze miejsce!).

- No i proszę, miał autentycznego, „dziennikarskiego nosa”! A swoją drogą to telewizyjna realizacja fragmentów „Malczewskiego” przez jednego z dziennikarzy „Studio-2” - z wiosny tego roku - wzbudziła we mnie raczej smutne refleksje.

- Ale też dzięki tej właśnie realizacji Radiokomitet zauważył nasz program, dostrzegł jego istotną wartość i zdecydował, żebyśmy właśnie my reprezentowali w międzynarodowym konkursie telewizję polską.

- Mówimy ciągle o twórcach, nagrodach, ideach i wizjach artystycznych, o blaskach i cieniach przedstawienia, o trudnościach, jakie miał zespół. Jak to wszystko zespół znosił?

- Oprócz mnie pojechało do Knokke 11 osób z Teatru, w tym 9 mimów. Byłem zaskoczony ich odpornością psychiczną i fizyczną; umiejętnością wczytywania się w nową, specyficzną sytuację. Są to wspaniali ludzie, koledzy i przyjaciele...

- Wasze Studio Wizji i Ruchu jest zresztą przecież właśnie taką określoną grupą. Grupą ludzi bardzo zżytą, zaprzyjaźnioną, traktującą swój teatr nie tylko na „instytucjonalnych” zasadach. Dla bardzo wielu jest on po prostu życiem, a nie tylko miejscem pracy.

- Podobają mi się i fascynuje mnie idea starogreckiego Likejony - z jego wykładami dla wszystkich, którzy tego pragnęli, dla których istotne były sprawy Sztuki... Te moje marzenia wynikają również stąd, że przychodzą do mojego teatru ludzie bardzo młodzi i najczęściej bez wykształcenia artystycznego, natomiast z wielkim umiłowaniem sztuki. Pochodzą z różnych miejscowości i środowisk, z różnych szkół lub uczelni. Oczywiście, nie myślałbym dla nich o jakiejś „szkole teatralnej” - u nas w zespole najważniejsze jest kształtowanie osobowości - i dopiero w kontekście tego można mówić o kształceniu artystycznym... Nie chciałbym też, aby Teatr Studio Wizji i Ruchu był moim teatrem, ale by był teatrem naszym. W tym duchu prowadzone są u nas zajęcia. Mamy w tej chwili w zespole 19 mimów etatowych i 20 adeptów. Teraz rozjechali się na urlopy, ale w czasie sezonu pracujemy osiem godzin dziennie: trening aktorski, praca nad nowym programem, zajęcia w Studium Pantomimy. Kieruje nim Bohdan Zadura, który jest też od niedawna naszym kierownikiem literackim, a od początku istnienia teatru – jego „ojcem duchowym”... Bo przecież ten związek trwa od samego początku, prawie od dziesięciu lat, kiedy spotkałem się z Bohdanem jeszcze w Puławach. Już wtedy odbywaliśmy długie dyskusje na temat kształtu przyszłego teatru.

- Prawda... Wszak wiosną przyszłego roku Studio Wizji i Ruchu będzie obchodziło 10-lecie istnienia ! Dodajmy, że przez szereg lat działało w bardzo trudnych warunkach i niepewności bytu...

- Swoją przygodę artystyczną zaczynałem przed kilkunastu laty jeszcze we Wrocławiu, jako student tamtejszego Uniwersytetu w Studenckim Zespole Pantomimy „Gest”. Już wtedy myślałem o własnym teatrze... Późniejsze losy życiowe ułożyły się tak, że trafiłem do Puław, zaproszony tam przez ówczesnego dyrektora „Azotów”, który zapalił się do pomysłu stworzenia zespołu pantomimy. Kiedy dyr. Kołodziej odszedł, musiałem i ja opuścić Zakłady Azotowe. I gdyby nie ówczesna kierowniczką Powiatowego Domu Kultury, Teresa Jarzyna, która zaproponowała mi pracę w PDK-u, pewnie bym na zawsze wyjechał z Lubelszczyzny. To dzięki niej zostałem i mogłem kontynuować pracę z bardzo jeszcze młodym zespołem. Nawiasem mówiąc, już po roku i ja i p. Jarzyna musieliśmy odejść z Puław, przenieśliśmy się do Lublina. Człowiekiem, który mi wtedy bardzo pomógł, był nieżyjący już dyrektor Teatru im. Osterwy, Jerzy Tyrończyk. Dzięki jego zrozumieniu nasz puławski zespół postawił pierwsze kroki na scenie „Reduty 70”. „Ku samemu sobie” – spektakl inspirowany

twórczością Hermana Hesse stał się dla nas swoistą „receptą” na pracę. Dominowały w nim ruch i badanie jego istoty, impresyjność, oszczędność anegdoty literackiej. No i muzyka. Istotą i zasadą naszego teatru jest podporządkowanie istniejących form ruchu: pantomimy, tańca nowoczesnego, egzotycznego, akrobatyki itp. celowi nadrzędnemu: próbie tworzenia języka scenicznego. Muzyka i ruch w spektaklach stanowią organiczną całość. Spektaklom przez nas tworzonym nadajemy formę impresji, skojarzeń, albo - jeśli posłuży się przykładem z twórczości Joyce’a - epifanii, objawień luźnych, ale zdeterminowanych ideą przedstawienia. Ruch jest tworzywem wieloznacznym. Tylko skrupulatna dyscyplina i systematyczne badanie wszystkich jego objawów, zarówno przez reżysera jak i aktora, szczególnie zaś absolutna kontrola tego drugiego nad własnym ciałem, może pozwolić mu na przekazywanie widzowi wszystkich swoich stanów i treści, które niesie przedstawienie.

- Później tworzyliście następne przedstawienia: inspirowane twórczością Van Gogha „Warianty” (nagrodzone w 1973 I nagrodą na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Pantomimy w Szczecinie), „Rosnący kamień” wg opowiadania Alberta Camusa, „Kroki w czasie”, „Images” - zrealizowane w Filharmonii Lubelskiej... Zacięliście mieć swoich zwolenników, entuzjastów i swoją publiczność. Odwiedzali was filmowcy –dokumentaliści, poświęciła wam jeden z programów telewizyjnych „Camerata”. Na wieść o naborze adeptów do teatru zgłaszają się tłumy chętnych...

- Widocznie przemawia do ludzi to, co robimy. Ale też to, czego dokonywaliśmy, było możliwe dzięki takim mecenasom teatru, jak Jerzy Cywoniuk, Kazimierz Braun, a szczególnie sekretarz KW PZPR w Lublinie Tadeusz Mizera. Dzięki ich zaangażowaniu w naszą sprawę doszło w 1974 roku do stworzenia Stowarzyszenia - Teatr Studio Wizji i Ruchu, określenie naszego statusu prawnego i... finansowego. No, a w 1977 r. był już „Malczewski”...

- Najbliższe plany?

- W sierpniu wyjeżdżamy na miesięczny Warsztat Mimiczny w Korbielowie w Beskidzie Żywieckim - zaprawę do powakacyjnych, europejskich podróży, które zaczynamy już we wrześniu, od Paryża.